



K

R

K

X

E

MADELINE
MILLER

DAJ SIĘ JEJ
OCZAROWAĆ

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Kiedy się urodziłam, nie było słowa, które określałoby to, kim byłam. Nazwano mnie nimfą, zakładano bowiem, że okażę się podobna do matki, ciotek i tysięcy kuzynek. Zajmowałyśmy ostatnie miejsce w ostatnim rzędzie boginek, a nasze moce były tak skromne, że ledwo zapewniały nam nieśmiertelność. Rozmawiałyśmy z rybami, opiekowałyśmy się kwiatami i zbierałyśmy krople deszczu z chmur i sól z morskich fal. Słowo „nimfa” wyznaczało długość i sens naszego bytu. W naszym języku nimfa to nie bogini, lecz panna młoda.

Moja matka była jedną z boginek, najadą, strażniczką tryskających źródeł i strumieni. Wpadła w oko mojemu ojcu, gdy przybył w odwiedziny do pałacu jej ojca, Okeanosa*. W tamtych czasach Helios i Okeanos często biesiadowali to przy stole jednego, to drugiego. Byli kuzynami, rówieśnikami, chociaż na to nie wyglądali. Ojciec rozsyłał oślepiający blask jak świeżo wykuta z brązu tarcza, podczas gdy Okeanos już się urodził z kaprawymi oczami i brodą do pasa. Byli jednak tytanami, woleli więc swoje towarzystwo niż przestawanie z młodzieńcami, nieporadnymi bogami na Olimpie, którzy nie widzieli stworzenia świata.

*Na końcu znajduje się wykaz postaci z mitologii greckiej.

Pałac Okeanosa był niebywałym cudem, głęboko osadzonym w skale. Komnaty z wysokimi sklepieniami ozdobiono złotem, a stąpające przez wieki stopy bogów wygładziły kamienne posadzki. Wszędzie słyszało się lekki szmer rzek Okeanosa, źródło świeżych wód świata, tak mrocznych, że nie dało się zgadnąć, gdzie kończy się woda, a zaczyna dziewicza skała. Na brzegach rzek rosły delikatne szare kwiaty, trawa, a także niezmierna liczba dzieci Okeanosa: najady, nimfy i rzeczni bogowie. Lśniący jak wydry, roześmiani, o jasnych obliczach, rozsyłali blask w mrocznym otoczeniu, zabawiali się złotymi pucharami i toczyli niekończące się zmagania, igrając z miłością. Pośród nich, przyćmiewając całe to wiotkie piękno, zasiadała moja matka.

Jej włosy połyskiwały niczym brąz; każdy pukiel był tak lśnący, że zdawał się płonąć wewnętrznym ogniem. Poczuła spojrzenie mojego ojca, żarliwe jak płomienie ogniska. Widzę ją poprawiającą udrapowania szaty na ramieniu. Widzę ją zanurzającą w wodzie palce i wyjmującą je lśniące. Obserwowałam ją tysiące razy, jak robiła te sztuczki. Ojciec zawsze się na nie nabierał. Wierzył, że naturalnym porządkiem świata jest dawanie mu rozkoszy.

– Kto to? – spytał Okeanosa.

Ten miał już wiele złotoookich wnucząt spłodzonych przez mojego ojca i nie miał nic przeciwko kolejnym.

– Moja córka Perseida. Jest twoja, jeśli chcesz.

Następnego dnia ojciec spotkał ją przy tryskającym źródle, które rozlewało się w sadzawkę na powierzchni ziemi. To był piękny zakątek, zasłany bujnymi narcyzami pod baldachimem splecionych konarów dębów. Nie skaziło go błoto, nie pełzały tam oślizgłe ropuchy; czyste, wygładzone kamienie ustępowały miejsca trawie. Nawet mój ojciec, który za nic miał subtelności sztuki nimf, był oczarowany.

Matka wiedziała, że się zbliża. Była wątpła, ale sprytna i ostra jak drapieźny węgorz. Zdawała sobie sprawę, którądy biegnie droga

do władzy dla takich jak ona – na pewno nie przez baraszkowanie na brzegach rzek i płodzenie bękartów. Kiedy mój ojciec przeżył się przed nią, pyszny w swojej chwale, roześmiała mu się w twarz.

– Pokładać się z tobą? A czemu to?

Oczywiście brał, co mu się żywnie podobało. Ale też pochlebiał sobie, że wszystkie kobiety – zarówno młodziutkie niewolnice, jak i boginie – przemożnie pragną trafić do jego łóża. Dowodem na to były dymy na poświęconych mu ołtarzach, ofiary ciężarnych matek i uszczęśliwionych bękartów.

– Małżeństwo albo nic z tego – zapowiedziała mu moja matka. – A jeśli małżeństwo, to musisz wiedzieć jedno: na łonie natury będziesz mógł brać każdą dziewczkę, która ci wpadnie w oko, ale żadnej nie sprowadzisz do domu; w twoich komnatach będę rządzić tylko ja.

Warunki, ograniczenia. To były dla niego nowinki, lecz bogowie niczego nie kochają bardziej niż nowinek.

– Umowa stoi – rzekł i przypieczętował ją, dając mojej matce naszyjnik, który sam złożył z najrzadszych bursztynów. Później, kiedy przyszłam na świat, podarował jej drugi sznur i następne za każde z mojego rodzeństwa, a przyszło ich na świat jeszcze troje. Nie wiem, co bardziej ceniła: gorejące blaskiem kamienie czy zazdrość sióstr, kiedy nakładała naszyjnik. Myślę, że kolekcjonowałyby kolejne sznury po wieczność, aż przygięłyby ją do ziemi, jak jarzmo przygniata kark wołu, gdyby najpotężniejsi bogowie jej nie wstrzymali, kiedy się zorientowali, na co stać naszą czwórkę.

– Możesz mieć jeszcze dzieci, ale nie z nim – oznajmili jej.

Tylko że inni nie dawali bursztynów. Tamten jedyny raz widziałam ją płaczącą.

✱

Po moim urodzeniu ciotka – oszczędzę wam jej imienia, bo w tej opowieści roi się od ciotek – umyła mnie i owinęła w pielus-

ki. Inna zatroszczyła się o moją matkę; pokryła jej usta karminem, grzebieniem z kości słoniowej rozczesała włosy. A trzecia poszła do drzwi i wpuściła mojego ojca.

– Dziewczynka – oznajmiła, kręcąc nosem.

Dziewczynki mu nie przeszkadzały; miały łagodny temperament i złocistą barwę skóry jak oliwa z pierwszego tłoczenia. Ludzie i bogowie byli chętni wiele zapłacić, by płodzić z nimi dzieci, i mówiono, że skarbiec ojca równał się zasobom samych wielkich bogów. Gestem błogosławieństwa położył rękę na mojej głowie.

– Znajdzie świetnego oblubieńca – przepowiedział.

– Jak świetnego? – chciała wiedzieć matka. Gdyby wydano mnie za kogoś znamienitego, byłoby to dla niej jakieś pocieszenie.

Ojciec zastanawiał się przez chwilę, bawiąc się kosmykami moich włosów, przypatrując się uważnie oczom i kościom policzkowym.

– Myślę, że księcia – odparł w końcu.

– Księcia? – powtórzyła matka, nie kryjąc niezadowolenia. – Chyba nie masz na myśli śmiertelnika?

Kiedy podrosłam, spytałam, jak wyglądają śmiertelnicy.

„Można rzec, że mają nasze kształty, ale tylko w tym sensie, w jakim robak ma kształt wieloryba”, odpowiedział ojciec. Matka wyraziła się dosadniej: „Są niczym worki z niewyprawionej skóry, wypchane gnijącym mięsem”.

– Przecież na pewno wyjdzie za syna Zeusa – upierała się matka. Już wyobraziła sobie, jak ucztuje na Olimpie, siedząc po prawicy królowej bogów, Hery.

– Nie. Ma włosy rysia. I ten podbródek. Jest tak spiczasty, że aż odpychający.

Matka nie spierała się dalej. Jak wszyscy znała opowieści o wybuchach Heliosa, gdy mu się sprzeciwno. „Łśni złotem, ale jego ogień spala”.

Wstała. Jej brzuch się wygładził, talia zwężyła, policzki tchnęły

świeżością dziewiczej rosy. Wszystkie żeńskie istoty naszego gatunku szybko dochodzą do siebie po porodzie, ale ona była jeszcze szybsza; należała do córek Okeanosa, które wydają na świat potomstwo jak sarny – wystrzeliwując je niczym pociski.

– Chodź – rozkazała. – Postarajmy się o coś lepszego.

✱

Rosłam szybko. Niemowlęstwo trwało godziny, wczesne dzieciństwo – parę chwil. Ciotka, która licząc na to, że zyska względy mojej matki, została, nazwała mnie Jastrzębicą, Kirke, z powodu miodowej barwy oczu i dziwnie cienkiego zawodzenia, kiedy płakałam. Ale gdy spostrzegła, że matka tyle dba o jej usługi, co o pył u stóp, zniknęła.

– Matko, nie ma ciotki – poskarżyłam się.

Nie zareagowała. Ojciec już się wyprawił rydwanem na nieboskłon, a ona wpłatała we włosy kwiaty, szykując się do przejścia tajemnymi ścieżkami wód, by na trawiastych brzegach rzek dołączyć do siostr. Mogłam za nią popłynąć, ale wtedy musiałabym przesiedzieć cały dzień u stóp ciotek plotkujących o rzeczach, których nie rozumiałam. Więc zostałam.

Rozległe komnaty ojca były mroczne i ciche. Pałac, sąsiadujący z domostwem Okeanosa, był osadzony w dziewiczej skale, a ściany miał z polerowanego obsydianu. Dlaczego nie? Mogły być ze wszystkiego – z krwistoczerwonego egipskiego marmuru lub drewna sandałowego, z czego tylko ojciec by zapragnął. Ale on lubił blask obsydianu odbijający jego światło, płomienie pełgające na śliskich powierzchniach, gdy przechodził obok. Oczywiście nigdy nie pomyślał, jak głęboka zalega tam czerń, gdy jest nieobecny. Ojciec zupełnie nie potrafił wyobrazić sobie świata bez niego.

W tamtych czasach mogłam robić, co chciałam. Zapalałam pochodnię i biegałam, podziwiając ciemne, podążające za mną płomienie. Kładłam się na gładkiej polepie i palcami wierciłam w niej dziu-

ry. Nie znajdowałam czerwii ani robaków, ale mi ich nie brakowało. Nikt poza nami nie zamieszkiwał tych rozległych komnat.

Gdy nocą ojciec powracał, ziemia falowała jak boki konia i wywiercone przeze mnie dziury się wygładzały. Po chwili pojawiała się matka, pachnąca kwiatami. Biegła go przywitać, a on pozwalał jej wieszać mu się na szyi, przyjmował puchar z winem i zasiadał na wielkim srebrnym tronie. Ja dreptałam mu po piętach.

– Witaj w domu, ojczcie, witaj w domu.

Pijąc wino, grał w warcaby, ale tylko i wyłącznie sam przeciwko sobie. Przesuwał bierkę, odwracał warcabnicę i znów zmieniał położenie bierki.

– Nie pójdziesz do łoża, ukochany? – pytała miódopłynnym głosem matka.

Demonstrowała bujność kształtów, obracając się przed nim powoli jak pieczeń na rożnie. Przeważnie rzucał wtedy grę, nie zawsze jednak, i wtedy byłam najszczęśliwsza, bo matka szła sobie, trzaskając drzwiami z mirtowego drewna.

U stóp ojca cały świat był ze złota. Światło biło z niego całego, ze złocistej skóry, jarzących się oczu, połyskujących brązem włosów. Jego ciało paliło jak rozżarzony kosz z węglem i przytulałam się do niego tak blisko, jak mi na to pozwalał, niczym jaszczurka do skał w południe. Ciotka kiedyś powiedziała, że niektórzy pomniejsi bogowie ledwo potrafią na niego patrzeć, ale ja byłam jego rodzoną córką i wpatrywałam się w niego tak długo, że gdy odwracałam wzrok, jego wizerunek nadal odbijał się od moich źrenic, od podłogi, lśnił na ścianach i inkrustowanych stołach, nawet na mojej skórze.

– Co by się stało, gdyby śmiertelnik zobaczył cię w całej twojej chwale? – spytałam.

– Spłonąłby w jednej chwili.

– A gdyby śmiertelnik zobaczył mnie?

Uśmiechnął się. Słyszałam ruch warcabowych bierek, znajome szuranie marmuru po drewnie.

– Taki śmiertelnik uznałby się za szczęśliwca.
– Nie spaliłabym go?
– Oczywiście, że nie.
– Ale mam oczy jak ty.
– Nie. Spójrz. – Skierował wzrok na polano przy palenisku. Rozżarzyło się, zapłonęło, po czym rozsypało w popiół na podłodze. – To tylko próbka moich mocy. Potrafiłabyś choć tyle dokonać?

Całą noc wytrzeszczałam oczy w te polana. Nawet się nie rozgrzały.

✧

Na świat przyszła siostra, wkrótce potem brat. Nie potrafię powiedzieć, w jakim odstępie czasu. Dni bogów mkną jak wodospad i wtedy jeszcze nie opanowałam sztuczki śmiertelników – liczenia ich – choć można by się spodziewać, że ojciec włoży więcej trudu w naszą naukę, bo przecież sam liczył każdy wschód słońca. Tymczasem nawet on nazywał moje rodzeństwo bliźniakami. Rzeczywiście, od dnia narodzin brata byli nierozłączni jak para nerek. Ojciec pobłogosławił ich jednym ruchem dłoni.

– Ty wyjdiesz za wiecznie żyjącego syna Zeusa – zwrócił się do mojej świetlistej siostry, Pazyfae, proroczym tonem, którego używał, zapowiadając przyszłe zdarzenia.

Na to matka się rozjaśniła, wyobrażając sobie szaty, które przyoblecze na ucztę u Zeusa.

– A ty jak każdy syn będziesz odbiciem matki – zapowiedział mojemu bratu zwykłym głosem, dźwięcznym i czystym jak letni poranek.

Matka okazała zadowolenie, uznała bowiem, że Helios zezwolił jej nadać synowi imię. Nazwała go Perses, po sobie.

Pazyfae i Perses byli sprytni i szybko spostrzegli, jak sprawy stoją. Uwielbiali ze mnie szydzić, udając niewiniątka. „Ma oczy żółte jak siki – mówili. – Skrzeszy jak sowa. Nosi imię Jastrzębica, ale jest tak brzydka, że powinna nazywać się Koza”.

Takie były ich pierwsze przytyki, jeszcze niewinne, ale z każdym dniem coraz bardziej dobierali mi się do skóry. Nauczyłam się ich unikać i wkrótce znaleźli sobie przyjemniejsze rozrywki w pałacu Okeanosa, wśród małych najad i rzecznych bogów. Kiedy matka udawała się do swoich sióstr, przyłączali się do niej i narzucali swoją wolę uległym kuzynom i kuzynkom, zahipnotyzowanym jak płotki przed paszczą szczupaka. Wymyślali setki upokarzających gier.

– Chodź, Melio – kusili. – Na Olimpie modne jest przystrzyganie włosów do linii szyi. Jak złapiesz męża, jeśli nie pozwolisz się nam przystrzyż?

Kiedy Melia zobaczyła, że wygląda jak jeź, i rozplakała się, śmiali się, aż w podziemnych korytarzach huczało echo.

Zostawiłam ich tym rozrywkom. Wołałam ciche komnaty ojca i kiedy tylko mogłam, spędzałam każdą chwilę u jego stóp. Pewnego dnia, może chcąc mi wynagrodzić udręki ze strony rodzeństwa, zaproponował, że zabierze mnie i pokaże swoje święte stada krów. Spotkał mnie wielki zaszczyt, bo propozycja ojca oznaczała, że pojedę szczerozłotym rydwanem i ujrzę zwierzęta będące przedmiotem zazdrości wszystkich bogów: pięćdziesiąt śnieżnobiałych jałówek zachwycających oczy Heliosa podczas jego codziennych wędrówek nad ziemią. Wychyliłam się poza ozdobioną szlachetnymi kamieniami krawędź rydwanu i patrzyłam wniebowzięta na sunącą w dole ziemię: ciemnozielone lasy, ostre wierzchołki gór, rozległy błękit oceanów. Szukałam śmiertelników, lecz sunęliśmy za wysoko, aby ich dostrzec. Stado żyło na zarośniętej bujną trawą wyspie Trinakia i opiekowały się nim moje przyrodnie siostry, Lempetia i Faitusa, Świetlista i Lśniąca.

– Kogo dzisiaj z sobą przywiodłeś?

– To musi być jedna z córek Perseidy, patrz na jej oczy.

– Oczywiście! – Lempetia, myślę, że to była ona, pogladziła mnie po włosach. – Wcale nie powinnaś się przejmować barwą

swoich oczu. W ogóle się tym nie martw. Twoja matka jest bardzo piękna, ale nigdy nie była silna.

– Mam oczy jak wy – powiedziałam.

– Jaka ona słodka! Nie, kochanie, nasze płoną jak ogień, a nasze włosy są jak słońce na wodzie.

– To sprytne, że zaplatasz włosy w warkocze – pochwaliła mnie Faitusa. – Dzięki temu kasztanowe pasma wcale tak źle nie wyglądają. Szkoda, że nie możesz tak samo ukryć swego głosu.

– Mogłaby trzymać buzię na kłódkę. To załatwiłoby sprawę, prawda, siostrzo?

– Pewnie tak. – Uśmiechnęły się. – Pójdziemy do krów?

Nigdy wcześniej nie widziałam krowy, ale to nie miało znaczenia; zwierzęta były tak piękne, że żadne porównanie nie było potrzebne. Sierść miały czystą jak płatki lilii, a ślepia łagodne, z długimi rzęsami. Ich rogi pozłożono – zrobiły to moje siostry – a kiedy zwierzęta opuszczały łby, by szczypać trawę, czyniły to z wdziękiem tancerek. W świetle zachodzącego słońca ich grzbiety rozciąły łagodny blask.

– Och! – wykrzyknęłam. – Mogę jedną pogłaskać?

– Nie – zakazał mi ojciec.

– Chcesz wiedzieć, jak się nazywają? Ta jest Białopyska, a ta Jasnooka, ta to Skarb. Te zaś to Urocz, Śliczna i Złotoroga, i Lśniaca. Ta jest Skarb, a ta...

– Już jedna wcześniej nazywała się Skarb – przerwałam jej. – Powiedziałas, że to ta. – Wskazałam palcem krowę, która ze spokojem przeżuwała trawę.

Siostry popatrzyły na siebie, potem jednocześnie spojrzały na ojca swoimi złotymi oczami.

– Musiałas się pomylić – powiedziały. – To jest Skarb. A to Gwiazdka, a ta Pyszna i...

– A to co? – zapytał ojciec. – Śliczna ma strupa?

Siostry niemal wpadły w histerię.

– Jakiego strupa? Och, nie może być! Och, niegrzeczna Śliczna, jak mogłaś się skaleczyć? Och, niedobre stworzenie, musiało cię boleć!

Pochyliłam się, żeby się lepiej przyjrzeć. Zobaczyłam ma-
lutki strupek, mniejszy niż paznokieć małego palca, ale ojciec się
nachmurzył.

– Wasza w tym głowa, żeby do jutra nie było po tym śladu.

Skinęły szybko głowami.

– Oczywiście, oczywiście. Strasznie nam przykro.

Znów zajęliśmy miejsca w rydwanie i ojciec ujął nabijane srebr-
nymi guzami wodze. Siostry wycisnęły ostatnie pocałunki na jego
rękach, a konie skoczyły przed siebie, kołysząc nas na niebie. W ga-
snącym świetle dnia już pojawiały się pierwsze konstelacje gwiazd.

Pamiętałam, jak ojciec opowiedział, że daleko, na ziemi, są lu-
dzie zwani astronomami, których zadaniem jest śledzenie jego fału-
jącej trasy. Śmiertelnicy niesłychanie szanowali tych mężów. Miesz-
kali w pałacach i służyli radami królom, ale czasem ojciec zabawił
dłużej to tu, to tam i wtedy astronomowie wpadali w rozpacz, gdyż
ich obliczenia przestawały się zgadzać. Wleczono ich przed oblicza
królów, którym służyli, oskarżano o oszukiwanie i zabijano. Ojciec,
mówiąc mi o tym, był rozbawiony.

– Mają to, na co zasłużyli – dodawał. – Słońce jest panem swojej
woli i nikt nie może mu rozkazywać, co ma czynić.

– Ojcze, czy jesteśmy tak spóźnieni, że astronomowie tracą
głowy? – zapytałam.

– Tak – odparł, potrząsając lejcami. Konie skoczyły jeszcze
szybciej i świat rozmył się pod nami; dymne cienie nocy uniosły się
z brzegów mórz. Poczułam dziwny ucisk w piersiach, jakby ktoś
wsunął mi tam rękę i ruchem praczki wyżał wnętrzości. Myślałam
o astronomach. Wyobrażałam ich sobie skulonych, pełzających jak
robaki, klęczących na chudych kolanach i zawodzących: „Błagamy!
To nie nasz błąd, samo słońce się spóźniło”. „Słońce nigdy się nie

spóźnia – odpowiadali z tronów królowie. – Wasze słowa to bluźnierstwo, musicie umrzeć!”

I topór opadał, tnąc błagających mężów na dwoje.

– Ojcie, niedobrze mi – szepnęłam.

– Jesteś głodna – orzekł. – Czas na ucztę. Twoje siostry powinny się wstydzić, że nas zatrzymały.

Objadłam się na kolację, ale nadal czułam się dziwnie. Musiałam mieć nieswoją minę, bo Perses i Pazyfae zaczęli się szyderczo uśmiechać ze swojego łoża biesiadnego.

– Połknęłaś żabę?

– Nie.

Moje zaprzeczenie tylko wprowało ich w jeszcze większe rozbawienie; pocierali się ramionami w udrapowanych szatach, niczym węże polerujące jeden drugiemu łuski.

– A jak złote jałówki ojca? – spytała siostra.

– Piękne.

Perses wybuchnął śmiechem.

– Ona nie wie! Słyszałaś kiedyś coś równie głupiego?

– Nigdy – odparła siostra.

Nie powinienam była się dopytywać, ale nadal byłam głęboko zagrożona w myślach; wciąż widziałam bezgłowe trupy astronomów, rozciągnięte na marmurowych podłogach.

– Czego nie wiem?

Siostra zrobiła taką minę, że wyglądała jak istna norka.

– Że on z nimi kopuluje. Tak robi nowe. Zamienia się w byka, płodzi cielęta, a potem piecze postarzałe krowy. Dlatego wszyscy myślą, że są nieśmiertelne.

– Wcale nie.

Wyli ze śmiechu, pokazując palcem moje rumieńce. Te hałasy zwabiły matkę, która uwielbiała szyderstwa Pazyfae i Persesa.

– Opowiadamy Kirke o krowach – wyjaśnił mój brat. – Ona nie wiedziała.

Matka roześmiała się głosem brzmiącym jak strumień srebrnych monet spadających skalnym wodospadem.

– Głupia Kirke.

✧

Tak wyglądały moje młodzińcze lata. Chciałabym powiedzieć, że cały czas szykowałam się, by się stamtąd wyrwać, ale prawda jest taka, że dałam się unosić prądowi wydarzeń, przekonana, że po kres moich dni będę tylko cierpieć nudę i udręki.

ROZDZIAŁ DRUGI



Rozeszła się wieść, że jeden z moich stryjów zostanie ukarany. Nigdy go nie spotkałam, ale w domu wszyscy na okrągło powtarzali zabobonnym szeptem jego imię. Prometeusz. Dawno temu, gdy ludzie jeszcze dygotali, marznąc w jaskiniach, sprzeciwił się woli Zeusa i przyniósł im dar ognia. Z jego płomieni wyłoniły się wszelkie umiejętności i dary cywilizacji, które zazdrosny Zeus miał nadzieję nie dopuścić do ludzkich rąk. Prometeusza za bunt wtrącono do najgłębszego lochu świata podziemi, dopóki nie zostanie skazany na stosowną torturę. Teraz Zeus obwieścił, że czas ogłosić wyrok.

Stryjowie i wujowie przybiegli do pałacu ojca, trzęsąc brodami i śliniąc się ze strachu. To była istna zbieranina: rzeczne bożki o mięśniach jak pnie drzew, skąpani w morskiej wodzie bogowie głębin z krabami zwisającymi u bród, żylaste staruchy z kawałkami solonego mięsa w zębach. Większość z nich tak naprawdę nie była ani moimi stryjami, ani wujami; należeli do starszego pokolenia. Byli tytanami jak ojciec i dziadek, jak Prometeusz, relikdami z epoki wojny bogów, których nie złamano i nie zakuto w kajdany, gdyż ugięli się przed piorunami Zeusa.

Kiedy świat był jeszcze młody, żyli w nim tylko tytani. Przodek ze strony ojca, Kronos, usłyszał przepowiednię, że pewnego dnia

potomek pozbawi go tronu. Kiedy jego żona Rea powiła pierwsze dziecko, wyrwał je jeszcze wilgotne z jej ramion i w całości połknął. Pożarł też kolejną czwórkę dzieci, gdy tylko przyszły na świat, lecz kiedy pojawiło się ostatnie, zrozpaczona Rea dała mężowi do pożarcia owinięty w pieluchy kamień. Kronos dał się nabrać i uratowane dziecko, Zeus, trafiło na górę Dikte, gdzie chowano je w tajemnicy. Kiedy Zeus osiągnął wiek dorosły, rzeczywiście postawił się Kronosowi. Porwał z nieba piorun, a ojcu wcisnął do gardła zioła powodujące wymioty. Gdy Kronos zwymiotował swoje pożarte dzieci, stanęły one po stronie brata, mieniając się bogami Olimpu, wyniosłej góry, na której umieścili swoje trony.

Starzy bogowie się podzielili. Wielu oddało swoje moce Kronosowi, ale mój ojciec i dziadek stanęli u boku Zeusa. Jak twierdzą niektórzy, zrobili to dlatego, że Helios zawsze nienawidził samochwalstwa Kronosa; inni mówią, że mając dar przewidywania przyszłości, znał wynik wojny. Bitwy rozdarły niebo; powietrze zapłonęło, a bogowie wyszarpywali jedni drugim kawałki ciał. Ziemię przesączyły wrzące krople krwi tak potężnej, że tam, gdzie spadły, wyrastały rzadkie kwiaty. W końcu moc Zeusa zwyciężyła. Przeciwników zakuł w kajdany, a pozostałych tytanów pozbawił mocy, przekazując ją braciom, siostrze i dzieciom, które spłodził. Mój wuj Nereusz, dawny potężny władca mórz, teraz służył na posyłki nowemu bogu, Posejdonowi. Inny, Proteusz, stracił pałac, a jego żony zostały nałożnicami. Tylko ojciec i dziadek uniknęli niefaski, nie utracili pałaców.

Tytani uśmiechali się szyderczo. Czy powinni być wdzięczni? To Helios i Okeanos odwrócili bieg wojny, wszyscy o tym wiedzieli. Zeus powinien obdarzyć ich nowymi mocami, nowymi stanowiskami, ale się bał, bo byli już i tak niemal równie potężni jak on. Tytani oglądali się na ojca, czekając na jego protest, na rozbłysk wielkiego ognia Heliosa. Lecz wracał do rozległych komnat pod ziemią, daleko od spojrzenia Zeusa, przenikliwego jak światło dnia.

Minęły wieki. Rany ziemi się zagoiły, pokój się utrzymał. Ale urazy bogów są tak nieśmiertelne jak ich ciała i w biesiadne noce stryjowie zbierali się ciasnym kręgiem u boku mojego ojca. Ach, co to był za widok, gdy opuszczając wzrok, przemawiali do niego; jacy byli milczący i uważni, choć nie mogli spokojnie usiedzieć. Dno prześwitywało w kruzach z winem, pochodnie przygasały. „Dość czasu minęło”, rozlegały się szept. „Znów jesteście silni”. „Pomyśl, czego mógłby dokonać twój ogień, gdybyś go uwolnił”. „Jesteś najpotężniejszy z bogów starej krwi, mocniejszy nawet niż Okeanos. Mocniejszy niż sam Zeus, gdybyś tylko zechciał”.

Ojciec przywoływał na twarz uśmiech.

– Bracia, cóż to za mowa? – pytał. – Czy nie ma dość czci i ofiar dla wszystkich? Ten Zeus nieźle sobie radzi.

Gdyby Zeus słyszał te słowa, czułby się usatysfakcjonowany. Ale nie mógł widzieć tego, co ja nieomylnie widziałam na twarzy ojca. Niewypowiedzianych, lecz obecnych słów.

Ten Zeus nieźle sobie radzi. Jak na razie.

Stryjowie zacierali ręce i odpowiadali uśmiechem. Potem odchodzili, pogrążeni w nadziejach, zapatrzeni w przyszłość, której nie mogli się doczekać, przyszłość, w której tytani znów obejmą rządy nad światem.

To była moja pierwsza lekcja. Pod gładkim, znajomym obliczem spraw czeka zastęp innych, by rozedrzeć świat na dwoje.

*

Teraz stryjowie tłoczyli się w komnacie ojca, przewracając oczami ze strachu. Nagłe ukaranie Prometeusza to znak, że Zeus i jego pobratymcy znów wyruszają przeciwko nam, biadolili. Bogowie Olimpu nigdy nie zaznają spokoju, dopóki nie zetrą nas na proch. Powinniśmy stanąć ramię w ramię z Prometeuszem... albo nie, powinniśmy przemówić przeciwko niemu, odsunąć piorun Zeusa wymierzony w nasze głowy.

Byłam na swoim zwykłym miejscu, u stóp ojca. Leżałam cicho, żeby mnie nie zauważyli i nie odesłali, ale w piersiach czułam mrowienie na nieprzepartą myśl, że znów wybuchnie wojna. Nasze komnaty rozedrze piorun. Atena, wojownicza córka Zeusa, będzie nas ścigać szarymi włóczniami, mając u boku Aresa, swojego równie miłującego rzeź brata. Zostaniemy zakuci w kajdany i ciśnięci w rozpłomienione czeluści, skąd nie ma ucieczki.

– Chodźcie, bracia – przemówił ze środka zgromadzonych ojciec, spokojny, jaśniejszy niż złoto. – Jeśli Prometeusz ma być ukarany, to tylko dlatego, że na to zasłużył. Nie dajmy się wciągnąć w żadne spiski.

Stryjowie nie przestawali się zamartwiać.

– Kara będzie publiczna. To obraza, ostrzeżenie pod naszym adresem. Patrzcie, co spotka nieposłusznych tytanów.

Blask, który rozsyłał ojciec, wyostrzył się, rozjaśnił.

– To ukaranie buntownika, nic więcej. Prometeusz zbłądził, ulegając głupiemu umiłowaniu śmiertelników. Nie ma mowy o żadnym ostrzeżeniu pod naszym adresem. Rozumiecie?

Stryjowie pokiwali głowami. Na ich twarzach zawód połączył się z ulgą. Nie będzie rozlewu krwi. Na razie.

✧

Każń boga była czymś rzadkim i strasznym, więc nasze komnaty wypełnił chór zmieszanych, niespokojnych głosów. Prometeusz nie mógł zostać zabity, ale są katusze gorsze niż śmierć. Czy to będą noże, czy miecze, a może rozczłonkowanie? Rozżarzone do czerwoności żelaza czy ogniste koło? Najady omdlewały, tuląc się jedna do drugiej. Bogowie rzek prężyli się, podniecenie barwiło im twarze ciemną krwią. Nie macie pojęcia, jak bardzo bogowie lękają się bólu. Nic nie jest im bardziej obce niż ból i jego widoku boją się przeraźliwie.

Wyznaczonego dnia drzwi komnaty gościnnej ojca rozwarły się szeroko. Kulisty żar rozpalonych pochodni jaśniał przy ścianach,

ukazując zgromadzenie nimf i bogów wszystkich odmian. Szczupłe najady wynurzyły się z lasów, strzegące jaskiń oready wybiegły z górskich rozpadlin. Była moja matka z siostrami najadami; rzeczni bogowie, atletyczni jak rumaki, tłoczyli się obok białych niczym ryby morskich nimf i władców słonych odmętów. Przybyli nawet wielcy tytani; oczywiście ojciec i Okeanos, ale też zmiennokształtny Proteusz i Nereusz z morza; ciotka Selene prowadząca zaprzęg srebrnych koni przez nocne niebo i cztery wiatry pod wodzą lodowatego stryja Boreasza. Tysiąc szeroko otwartych oczu. Brakowało tylko Zeusa i jego olimpijskich braci i sióstr. Pogardzali naszymi podziemnymi zgromadzeniami. Wieśćniosła, że w chmurach już zadali własną porcję tortur.

Karę oddano w ręce jednej z Erynii, podziemnej bogini zemsty, zamieszkującej pomiędzy zmarłymi. Moja rodzina zajęła jak zawsze prominentne miejsce, a ja stałam przed ogromnym zbiegowiskiem, nie spuszczać oczu z drzwi. Za moimi plecami tłoczyły się i szeptały najady w towarzystwie rzecznych bogów.

– Słyszałam, że Erynii mają węzowe włosy.

– Nie, mają skorpionie ogony i z oczu ciecze im krew.

Nagle wyrosła na pustym progu. Twarz miała szarą i bezlitosną, jakby wyciętą z kamienia; z pleców wyrastały jej uniesione skrzydła, złączone jak u sępa. W rozwartych ustach miotał się rozdwojony jęzor. Na głowie wiły się węże, zielone i cienkie niczym gąsienice, ruchome żywe koronki we włosach.

– Prowadzę więźnia. – Jej głos odbił się od sufitu, chrapliwy i szczekliwy jak ujadanie ogara, który zwietrzył zwierzyńce. Długim krokiem wkroczyła do sali. W prawej ręce trzymała bat, którego koniec cicho szeleścił na podłodze; w lewej koniec długiego łańcucha, na którym wiodła Prometeusza.

Na oczach miał grubą białą opaskę, na biodrach strzępy tuniki, na rękach i nogach więzy, ale się nie potykał. Ciotka stojąca obok mnie szepnęła, że kajdany wykuł wielki bóg kowali Hefajstos, tak że nawet sam Zeus nie mógłby ich rozerwać. Jedna z Erynii wzle-

ciała na sępich skrzydłach i przybiła ogniwa łańcucha wysoko do ściany. Prometeusz zawisł na nich, ramiona mu się naciągnęły, kości wyrzały przez skórę. Nawet ja, która tak niewiele wiedziałam o cierpieniu, czułam jego ból.

Ojciec chyba coś powiedział. A może ktoś inny. Z pewnością powinni go jakoś powitać, pocieszyć – przecież łączyła ich krew. Ale milczący Prometeusz wisiał samotny.

Nie traciła czasu na umoralniające mowy. Była boginią kaźni i wiedziała, jak wymowna jest przemoc. Bat trzasnął jak łamane dębowe gałęzie. Barki Prometeusza zadygotały i z boku otworzyła się rana, długa jak moje ramię. Wszyscy wokół wciągnęli głośno powietrze, co zabrzmiało jak woda kipiąca na rozpalonych kamieniach. Bogini zemsty znów uniosła bat. TRZASK. Z pleców Prometeusza oderwał się pas skóry. Ryła w jego ciele z pełnym oddaniem, bez przerwy, rozrywając ciało długimi liniami, krzyżującymi się na skórze. Słysząc było tylko trzask bata i przytłumiony, gwałtowny oddech Prometeusza. Żył wystąpiły mu na szyi. Ktoś naparł na mnie, chcąc lepiej widzieć.

Rany bogów goją się niezwłocznie, ale Erynia знаła się na rzeczy i była szybka. Uderzała raz za razem, aż skóra bata przesiąkła krwią. Wiedziała, że bogowie krwawią, lecz nigdy tego nie widziałam. Prometeusz należał do najpotężniejszych naszej rasy i jego krew miała złotą barwę, nadającą plecom wyraz straszliwego piękna.

Bogini zemsty biczowała nadal. Mijały godziny, a może dni. Nawet bogowie nie mogą się tak długo przyglądać biczowaniu. Krew i męka zaczęły ich nużyć. Przypomnieli sobie o swoich przyjemnościach, ucztach i oczekujących rozkoszach, miękkich łóżach wyłożonych purpurą czekającą, by otulić ich członki. Wymykali się jeden po drugim i Erynia po ostatecznym uderzeniu wyszła ich śladem, po takiej pracy zasłużyła bowiem na ucztę.

Opaska zsunęła się z oczu stryja. Zamknął powieki, głowa opadła mu na piersi. Plecy miał w złotych strzępach. Wcześniej słysza-

łam stryjów mówiących, że Zeus dał mu szansę błagać na kolanach o lżejszą karę. Nie skorzystał z niej.

Tylko ja zostałam. Powietrze było przesączone boską krwią, gęstą jak miód. Stygnące złote strumyki nadal spływały mu po nogach. Czułam swój przyspieszający puls. Czy Prometeusz wiedział o mojej obecności? Ostrożnie zbliżyłam się o krok. Jego pierś podnosiła się i opadała, cichy oddech chrypiał mu w gardle.

– Szlachetny Prometeuszu? – Mój głos odbijał się w komnacie wątlmym echem.

Prometeusz podniósł głowę. Kiedy otworzył oczy, zobaczyłam, że są piękne: duże, ciemne i otoczone długimi rzęsami. Policzki miał gładkie, pozbawione zarostu, a przecież był w wieku mojego dziada, otaczał go nimb przedwiecznych czasów.

– Mogę ci przynieść nektaru – zaproponowałam.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Byłbym ci wdzięczny – rzekł. Jego głos miał bogaty dźwięk starego drewna. Po raz pierwszy go usłyszałam, bo podczas kaźni Prometeusz milczał.

Odwróciłam się. Oddychałam szybciej, idąc korytarzami do komnaty biesiadnej wypełnionej roześmianymi bogami. W głębi Erynia spełniła toast, pijąc z ogromnego pucharu, ozdobionego złowrogo uśmiechniętą twarzą Gorgony. Nie zabroniła nikomu się odzywać do karanego, ale to nic nie znaczyło – potrafiła uderzyć znienacka. Miałam wrażenie, że słyszę, jak piekielnym głosem wyje moje imię. Wyobraziłam sobie kajdany na nadgarstkach i spadający z wysoka bat. Ale dalej nie sięgałam wyobraźnią. Nigdy nie poczułam bicia. Nie znałam koloru swojej krwi.

Byłam tak rozdygotana, że musiałam nieść puchar w obu dłoniach. Co bym powiedziała, gdyby ktoś mnie zatrzymał? Ale kiedy wracałam, korytarze były ciche.

Prometeusz skuty w wielkiej komnacie milczał. Znów zamknął oczy i jego rany lśniły w blasku pochodni. Zawahałam się.